

Prof. UMK dr hab. Tomasz Justyński

W odpowiedzi Markowi Wrońskiemu – dziennikarzowi

W numerze 7 i 8 „Forum Akademickiego” z 2013 r. zamieszczony został tekst autorstwa M.Wrońskiego zatytułowany „Zarzuty przeciwko dziekanowi”. Materiał ulokowany w dziale „Z archiwum nieuczciwości naukowej” godzi bardzo mocno w moje dobre imię. Tym mocniej, że u osób niezorientowanych w sprawie może wywoływać wrażenie chłodnej, zdystansowanej oraz w pełni obiektywnej relacji.

Tekst M.Wrońskiego taki jednak nie jest. Dziennikarz, jak lubi o sobie pisać M.Wroński, nie zachowuje obiektywizmu. Wiele znanych mu, a zastanawiających faktów pomija, inne wyolbrzymia przydając im specjalne znaczenie. Odpowiednie wrażenie budują również wprowadzone przez autora tekstu śródtytuły. Skutecznie „komentują” one tekst. Sprawa w ten sposób prezentowana wygląda na jasną i zdecydowanie przesądzoną.

Warto rozpocząć od zwrócenia uwagi na to, że tekst M.Wrońskiego dotyczy sprawy daleko niezakończonych; znajdującej się dopiero na etapie uniwersyteckiego postępowania wyjaśniającego. Jego celem jest ustalenie, czy postępowanie dyscyplinarne powinno być w ogóle wszczęte.

Co więcej, tekst dotyczy sprawy objętej na tym etapie bezwzględny wymogiem poufności. W Kodeksie etyki pracownika naukowego (przyjętym przez PAN w grudniu 2012 r.) czytamy: „*warunkiem utrzymania najwyższych standardów w tych sprawach jest ścisła poufność postępowania wyjaśniającego i ograniczenie kręgu osób poinformowanych o tym postępowaniu (...) Niezbędne ujawnienie informacji osobom trzecim powinno odbywać się pod warunkiem zobowiązania tych osób do zachowania poufności, chyba że są one już do tego zobowiązane z racji wykonywanej funkcji.*”. Nikomu nie trzeba tłumaczyć, że taki standard ma również na celu zapobieżenie nieodwracalnym przecież naruszeniom dóbr osobistych.

W tej sprawie jest inaczej. Również dla dziennikarza M.Wrońskiego poufność nie ma znaczenia. Co gorsza, nie ma ona znaczenia także dla Marka Wrońskiego członka ekskluzywnego ministerialnego gremium: Zespołu do spraw Dobrych Praktyk Akademickich. M.Wrońskiego nie może tłumaczyć to, że w tej sprawie pełno jest „przecieków” z postępowania, mnóstwo osób chcących się wypowiedzieć medialnie

(w tym również oficjalnych), że pełno tu anonimów adresowanych do wielu instytucji państwowych i naukowych, zarówno centralnych jak i lokalnych, a także do wszystkich niemal mediów.

Zresztą M.Wroński bez wahania ujawnia również obszerne wyjątki z mojego pisma do ówczesnego dziekana WPIA UMK będącego moją odpowiedzią na zarzuty W.Stojanowskiej i M.Koska. A przecież to napisane „na gorąco”, niewolne od emocji pismo przekazałem mu z wyraźnym (pisemnym) zastrzeżeniem „tylko do jego wiadomości”. *Nota bene* nie mógł go legalnie pozyskać z innego źródła.

Nie zdradza też, że sprawie niecierpliwie towarzyszy od samego początku, a przynajmniej od maja 2012 r. Od tego to momentu regularnie zapowiada publikację i nawołuje mnie (zarówno w rozmowach telefonicznych, jak i w niezliczonych, wysyłanych o każdej porze dnia i nocy e-mailach) do przejścia na urlop bezpłatny. Niektórzy mogliby to nazwać, chyba niebezzasadnie, nękaniami. Miarę wyznaczoną dobrymi „obyczajami akademickimi” M.Wroński przekroczył, w moim odczuciu, komentując artykuł recenzyjny Z.Radwańskiego i R.Zegadły szeroko traktujący o zarzutach M.Koska i wykluczający plagiat. Cyt.: „*ten Radwański to miał chyba z osiemdziesiąt lat*”. Oczywiście, jako nieprawnik M.Wroński ma prawo nie wiedzieć kim był - zmarły niedawno - Profesor Zbigniew Radwański. A był, warto w tym miejscu przypomnieć, najwybitniejszym w Polsce specjalistą prawa cywilnego i rodzinnego, przewodniczącym Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Cywilnego, jedynym prawnikiem Kawalerem Orderu Orła Białego. Jednak, nawet respektując prawo człowieka do ignorancji, przyjąć trzeba, iż nie jest to właściwy komentarz w ustach kogoś kto chce uchodzić za eksperta w dziedzinie dobrych obyczajów akademickich.

Przemilczenia i półprawdy

Na czterech stronach Autor prezentuje chronologicznie fakty. Nie wszystkie lubi jednakowo. Jedne, doskonale mu znane, eliminuje, innym – tym układającym się w założoną całość – wyznacza eksponowane miejsce. Nie zachowuje też w swej relacji żadnych rozsądnych proporcji. Trzy czwarte materiału poświęca zarzutom zgłaszanym przez M.Koska i W. Stojanowską i drobiazgowo (miejscami tak drobiazgowo, że aż niezrozumiale) je relacjonuje. Prezentując moje stanowisko wydobywa jedynie sformułowania banalne lub gołe zaprzeczenia, na ogół nie przytaczając mojej obszernej przecież argumentacji merytorycznej. Co oczywiste, takie wyjaśnienia nie mogą nikogo przekonać.

Na dwie moje obszerne wypowiedzi na łamach „Państwa i Prawa” oraz w szczególności na sześć posiadanych przeze mnie opinii prawnych wybitnych autorytetów z zakresu prawa autorskiego nie znalazł miejsca. „Uczciwie” jedynie sygnalizuje je i tłumaczy, że ich omówienie znacznie przekraczałoby objętość jego tekstu. Szkoda. Chyba jednak należało, skoro już M.Wroński pozyskał te opinie (zapewne jako „przeciek” z akt postępowania wyjaśniającego). Z ich treści wynika bowiem zupełnie inny obraz sytuacji.

M.Wroński nie wspomina także o artykule recenzyjnym dwóch wybitnych prawników: Z.Radwańskiego i R.Zegadły (*Refleksje nad pracą Tomasza Justyńskiego, Prawo do kontaktów z dzieckiem w prawie polskim i obcym*, Ruch Prawniczy Ekonomiczny i Socjologiczny 2012, z. 4). Można jedynie domyślać się, że z powodu zaprezentowanych tam wniosków, jest dla założonej tezy niewygodny.

Wiele uwagi poświęca natomiast „reportażowi” w TVN „Uwaga”. Nie dziwi go zainicjowanie takiej formy „dyskusji naukowej”. A przecież przy uwzględnieniu pozostałych okoliczności (tj.: pięciokrotnego powtórzenia emisji, wielokrotnych jej zapowiedzi pod znamienym tytułem „*Plagiat po polsku*”, publikacji w „Angorze”, kilkunastu wcześniejszych publikacji w mediach lokalnych, a także niezliczonej ilości anonimów) śmiało można podejrzewać nagonkę.

Nie zastanawiają go przytaczane przez W.Stojanowską niewiarygodne okoliczności ujawnienia domniemanego plagiatu przez księdza Koska. Mianowicie najpierw rozpoznał on plagiat, a dopiero następnie ściągnął książkę N.Schulze z Niemiec, aby upewnić się czy ma rację. A przecież takie objaśnienie zakrawa na kpinę ze zdrowego rozsądku.

Pisze natomiast, że Rektor prof. A.Tretyn przed kamerami TVN „Uwaga” potwierdził, że opinia krakowska zawiera jednoznaczną konkluzję w postaci „przesądzenia plagiatu”. Tak to rzeczywiście wyglądało. Nie wiadomo wprawdzie czy była to pełna wypowiedź, czy też „przykrojona” dla potrzeb programu. Okoliczności „schwymania” Rektora (odmawiającego wcześniej konsekwentnie wypowiedzi) pomiędzy salą wykładową, a toaletą mogą nasuwać wątpliwości. M.Wroński nie wspomina natomiast o tym, że w następnych dniach, na łamach toruńskiego dziennika „Nowości” (z 14 maja 2013r.) rektor dodał do tego stwierdzenia obszerne wyjaśnienie, cyt.: *”Taka konkluzja była w pierwszej opinii, jaką otrzymaliśmy. Nie mogliśmy jej jednak przyjąć – była zbyt ogólnikowa i stanowiła w istocie wykład o tym czym jest plagiat. Poprosiliśmy o jej istotne uzupełnienie”*.

O opinii „krakowskiej” M.Wroński wspomina także „od siebie”. Nie wiadomo dlaczego łągodzi jej konkluzje. Píše, że jej autorzy „stwierdzili naruszenie praw autorskich” niemieckiej autorki. Ale przecież o czym doskonale wie, opiniujący uznali, że ich zdaniem doszło nie do jakiegokolwiek naruszenia, ale do plagiatu. Sformułowali jeszcze dwie dodatkowe konkluzje znane doskonale M.Wrońskiemu. A mianowicie, że biegli nie znają języka niemieckiego, a także że nie znają prawa rodzinnego i z tego powodu konieczne jest poddanie sprawy ocenie lingwisty oraz ocenie specjalisty z zakresu prawa rodzinnego. Nawet osobie niezorientowanej w sprawie zestawienie takich tez musi wydać się niespójne i co najmniej dziwne.

Z tekstu M.Wrońskiego nie można także wyczytać, że w żadnym z toczących się postępowań nie został wysunięty zarzut plagiatu. Od zarzutu plagiatu odżegnuje się prof. W.Stojanowska (wezwana po programie w TVN „Uwaga” oraz po publikacji w „Angorze” do przeprosin oraz zapłaty sumy na cel społeczny). W swym piśmie z dnia 26 lipca 2013 r. píše, że w żadnej ze swych wypowiedzi cyt.: „*nie twierdę, że Pan Justyński popełnił plagiat*”.

Także rzecznik dyscyplinarny UMK Prof. B.Sygit usiłuje obecnie konstruować zupełnie inny zarzut. Mianowicie nierzetelności naukowej (*nota bene* nie wiadomo jak ją rozumieć) i proponuje naganę. Co charakterystyczne dla tej sprawy, wszystko to trafia do mediów zanim jeszcze zakończył poufne postępowanie wyjaśniające i przeprowadził dowody wnioskowane przeze mnie.

M.Wroński kończy swe wywody nieoczekiwane stwierdzeniem, że „o dalszym przebiegu tej t r u d n e j sprawy będzie informował”. Jakiej trudnej, chciałoby się zapytać. Przecież z tekstu, w sposób niebudzący najmniejszych wątpliwości, wynika, że rzecz jest jasna i już ewidentnie przesądzona.

Nieprawdziwe stwierdzenia

Oprócz przeinaczeń i pominięć w tekście M.Wrońskiego znalazły się stwierdzenia wprost nieprawdziwe.

I tak, nieprawdą jest, że wykaz M.Koska stanowiący załącznik do pisma W.Stojanowskiej liczy sobie 20 stron. Chociaż i tak M.Wroński był tu „skromniejszy” w porównaniu do redakcji „Angory”, która w materiale T.Patory podała, że chodzi o stron kilkadziesiąt (*nota bene* do dziś odmawia opublikowania sprostowania tego oraz innych stwierdzeń nieprawdziwych). W rzeczywistości „wykaz” liczy sobie stron 14, z czego połowa to komentarz M.Koska.

Nieprawdą jest, że wybory dziekańskie rozstrzygnięte zostały minimalnym stosunkiem głosów. Nie ma to wprawdzie znaczenia, gdyż – jak wiadomo – w wyborach wystarcza nawet jeden głos przewagi. Warto jednak zasygnalizować, że brało w nich udział czterech kandydatów, nad którymi uzyskałem przewagę od kilku do kilkunastu głosów, co w niektórych przypadkach stanowiło przewagę wielokrotną.

Nieprawdą jest także to, że podczas zgromadzenia wyborczego tłumaczyłem Radzie sprawę zarzutów W.Stojanowskiej. Rada Wydziału została obszernie poinformowana o pomówieniach dwa miesiące wcześniej, na swym posiedzeniu lutowym (co można łatwo sprawdzić sięgając do protokołów). Na posiedzeniu wyborczym nie było potrzeby nawiązywania do tej kwestii.

Nieprawdą jest wreszcie i to, że mój list do księdza biskupa P.Libery był oficjalną skargą. Jako prawnik potrafiłbym nadać odpowiedni kształt takiemu pismu (podobnie jak to zrobiła W.Stojanowska w swej skardze do Dziekana WPiA). List miał ewidentnie charakter prywatny (wysłałem go jako osoba prywatna, z adresu prywatnego, nie domagałem się informacji o sposobie „załatwienia” czegokolwiek, ani też nie formułowałem go w sposób właściwy dla skargi) i był wyrazem zaufania do duchownego księdza biskupa. Niestety zdecydowanie nadużytego. Nie był on przejawem „agresji” z mojej strony, ale swoistym „wołaniem o pomoc” wobec bezprzykładnego ataku, pierwszej fali anonimów kierowanych do wielu instytucji oraz mediów, a także prób wciągania dziennikarzy. Wynikało to zresztą wprost z jego treści. Przekazania listu do telewizji oraz prasy nie sposób nawet komentować.

M.Wroński pisze także, że sprawą „zainteresowała się” prokuratura. Nie jest to prawdą. Prokuratura „została zainteresowana” w drodze anonimowego doniesienia i o dziwo podjęła postępowanie, mimo iż procedury uczelniane niczego przecież, nie tylko nie potwierdziły, ale nawet nie uprawdopodobniły.

Długi żywot nonsensownych pomówień

„Forum Akademickie” z oczywistych powodów nie nadaje się do przedstawiania i dyskusowania specjalistycznych argumentów merytorycznych (*dla wykazania nonsensowności twierdzeń M.Koska*). Czasopismo adresowane jest przecież do przedstawicieli bardzo różnych dyscyplin nauki, charakteryzujących się daleko idącą specyfiką. Nie da się zatem, nie tylko operować istotnymi szczegółami, ale nawet stwierdzenia ogólne mogą okazać się nie dość jasne. Do zarzutów M.Koska odnosiłem się bardzo szczegółowo, już dwukrotnie, na łamach

„Państwa i Prawa” (PiP 2012, z. 7, PiP 2013, z. 6) i obaliłem je. Z.Radwański i R.Zegadło pisali potem, że w pełni przekonująco (zob.: RPEiS 2012, z. 4, s. 259).

Mimo tej refleksji nie można w tym miejscu nie odnieść się do kilku zasadniczych kwestii.

Specyfika badań prawniczych (a w szczególności prawnoporównawczych) polega m.in. na tym że wszyscy autorzy opracowań dotyczących tego samego tematu opierają się na tym samym materiale. A więc na tych samych: ustawach, orzecznictwie sądowym oraz sięgają do tego samego piśmiennictwa. Już to daje pewne wyobrażenie o tym, że prace z zakresu prawa (w tym w szczególności prawa porównawczego) z natury rzeczy muszą być do siebie w znacznym stopniu podobne. Upodabnia je jeszcze bardziej to, że w badaniach instytucji prawnych stosowany jest ten sam schemat badawczy narzucony już samym kształtem regulacji prawnej (a więc: pojęcie, treść uprawnienia, cel regulacji, podmioty uprawnione, charakter prawny, osobliwość). Wie o tym każdy student prawa sięgający do rozmaitych opracowań na ten sam temat. O indywidualnej wartości tych prac decyduje ładunek własnej myśli i oryginalna argumentacja. Różni to zasadniczo opracowania prawnicze od innych z zakresu nauk humanistycznych (gdzie samo podobieństwo mogłoby wywołać uzasadnione wątpliwości).

Czytając tekst M.Wrońskiego (podobnie jak teksty M.Koska) można odnieść wrażenie, że w mojej pracy poświęconej kontaktom z dzieckiem nie wykraczam poza to co już wcześniej, przed 10 laty napisała N.Schulze. M.Wroński powtarza wielokrotnie za M.Koskiem, że: *„Autor nie wykracza w sensie treściowym poza informacje i analizy zawarte w monografii N.Schulze”*. Tymczasem moja książka poświęcona została prawu polskiemu. Ono jest celem rozważań, deklarowanym wyraźnie we wprowadzeniu do pracy. Uwagi na temat rozwiązań zagranicznych stanowią tu jedynie tło do przedstawienia uregulowań polskich. W pracy N.Schulze nie ma natomiast ani słowa na temat prawa polskiego.

Zdaniem M.Koska nie wykraczam także poza powoływaną przez nią literaturę. Pomijając nawet okoliczność, że mniej więcej połowa literatury to literatura polska niewystępująca, co oczywiste, u N.Schulze, w mojej pracy wykorzystałem 26 opracowań zagranicznych (przywołując je 82 razy), które ukazały się po 2000 roku, a więc po dacie opublikowania książki N.Schulze. Co oczywiste, nie mogły one pojawić się w jej pracy. Warto dodać, że jest to ilość w pełni wystarczająca do napisania opracowania prawnoporównawczego. Oprócz tego powołałem wiele starszych pozycji literatury, z których korzystała także N.Schulze. Wbrew gołosłownym insynuacjom M.Koska zawsze sięgałem do nich bezpośrednio (na dowód czego przekazałem

rzecznikowi dyscyplinarnemu UMK kserokopie niemal wszystkich opracowań i judykatów zagranicznych, z których korzystałem; niektóre wykorzystałem na miejscu w bibliotekach zagranicznych).

M.Kosek zarzuca podobieństwo poszczególnych akapitów (!) z mojej książki oraz z pracy N.Schulze. Nie chodzi o podobieństwo stron, czy „ciągów stron”, chociaż takie wrażenie może powstać po lekturze tekstu M.Wrońskiego (przywołuje on bowiem numerację stron obejmującą kompletne rozdziały pracy N.Schulze). Tymczasem M.Kosek mozoli się wycinając z mojej pracy pojedyncze akapity (nierzadko jednozdaniowe) omijając te, w których N.Schulze została zacytowana. Takich akapitów zebrał 109. Wśród nich znalazły się również takie, w których N.Schulze została wprost zacytowana, czego M.Kosek w swym dążeniu do multiplikacji zarzutów nie chciał dostrzec (było ich 14). W tym m.in. kontekście na łamach Państwa i Prawa pisałem, że cyt.: *„po osobie duchownej należałoby spodziewać się więcej uczciwości także w wymiarze naukowym”*.

M.Kosek zarzucając podobieństwo określonych akapitów używa dodatkowo określenia „tłumaczenie”. Ma to swój cel. Chodzi mianowicie o pogłębienie wrażenia plagiatu. Wprawdzie ani razu nie użył go bez dodatku w postaci: *„mniej lub bardziej wierne tłumaczenie”*, *„swobodne tłumaczenie”*, *„wolne tłumaczenie”*. Jednak również w ten sposób osiąga swój cel. U czytelnika zakodowuje się słowo bez dookreślenia. Pozostaje wrażenie, że praca (lub przynajmniej poszczególne jej akapity) są tłumaczeniem. Jednak żadna część mojej monografii zdecydowanie tłumaczeniem nie jest.

M.Wroński przypisuje mi „wykorzystanie z premedytacją” książki N.Schulze. Nadaje nawet stosowne dramatyczne brzmienie jednemu ze śródtytułów swej wypowiedzi (*„Wykorzystał z premedytacją”*). Jako koronny dowód służyć ma odwołanie się, zarówno przeze mnie, jak i przez N.Schulze do badań przeprowadzonych onegdaj we Francji, a dotyczących ilości rodzin czteropokoleniowych. Owe, publikowane badania (*nota bene* zupełnie nieistotne, stanowiące jedynie ciekawostkę) ja i N.Schulze przywołaliśmy w zdecydowanie odmiennym kontekście i w zupełnie innych miejscach naszych opracowań. M.Kosek (a za nim M.Wroński) dochodzą tu do absurdalnego wniosku, że bezpośrednie wykorzystanie literatury, z której już korzystała N.Schulze jest niedopuszczalne. M.Kosek z tego absurdalnego argumentu następnie zrezygnował (można domyślać się, że pod wpływem mojej odpowiedzi dla Dziekana WPiA). W każdym razie nie podnosił go w żadnej ze swych dwóch, publikowanych później na łamach „Państwa i Prawa” polemik. M.Wroński natomiast z jakichś powodów zrezygnować nie chciał.

Podobnie, M.Kosek odstąpił w swych publikowanych polemikach od podtrzymywania zarzutu, że fragment mojej książki poświęcony kontaktom z domowymi czworonogami stanowi „kopię” mojego artykułu opublikowanego wcześniej na łamach „Rodziny i Prawa”. Pierwotnie chodziło zapewne o wywołanie skojarzenia z autoplagiatem (a także o multiplikowanie zarzutów; nawet takich, które w ogóle nie mają związku z zarzutem plagiatu). Również tę kwestię wyjaśniłem w swym piśmie do Dziekana WPiA. Podnosiłem wówczas, że wprowadzając w mojej książce umieściłem kilka stron tekstu wspomnianego artykułu, ale nie może być w tym nic zdrożnego. Artykuł stał się w ten sposób częścią większej monograficznej całości. Został także wyraźnie przywołany.

W tym m.in. kontekście zwracałem też uwagę na odmienne kryteria stosowane przez M.Koska przy ocenie własnego oraz cudzego dorobku naukowego. Mianowicie fragment opracowania, którego współautorem jest M.Kosek (W.Stojanowska (red.), M.Kosek, *Nowelizacja prawa rodzinnego. Analiza, wykładnia, komentarz*, Warszawa 2011, s. 78 – 92) poświęcony „amerykańskiemu planowi wychowawczemu”, publikowany był przez W.Stojanowską co najmniej czterokrotnie, co - jak się wydaje - M.Koskowi w tym przypadku nie przeszkadzało (zob.: 1) *Postulat przeniesienia amerykańskiej koncepcji „planu wychowawczego” rozwodzących się rodziców na grunt prawa polskiego*, ZP UKSW 2007, s. 7 – 43; 2) *Próba przeniesienia amerykańskiej instytucji prawnej w postaci „planu wychowawczego rodziców” do polskiego systemu prawnego* [w:] T.Smyczyński (red.), *System prawa prywatnego*, t.11, *Prawo rodzinne i opiekuńcze*, s. 740 – 753; 3) *Ochrona dobra dziecka rozwodzących się rodziców – „plan wychowawczy” według koncepcji stosowanej w USA i postulat przeniesienia jej na grunt polskiego prawa rodzinnego*, *Rodzina i Prawo* 2009, nr 12;). Zresztą na łamach „Państwa i Prawa” wskazywałem też inne przykłady takiej nierównej oceny.

W tym miejscu wypada jedynie powtórzyć ogólniejszą refleksję uczynioną już w lipcu 2012 r. na łamach Państwa i Prawa. Otóż, wybrany i zastosowany przez M.Koska sposób krytyki pozwala – przy odrobinie złej woli – zdyskredytować dowolną pracę prawnoporównawczą i postawić jej wszystkie stawiane mojej książce zarzuty. Należy jedynie dysponować odpowiednim samozaparciem i chcieć przeznaczyć stosowny czas na destrukcję cudzej pracy.

O nieetycznych metodach polemizowania

M.Wroński powtarza za M.Koskiem, że w nauce argumenty *ad personam* nie są akceptowane. W pełni słusznie.

W moich pracach nie odwołuję się do argumentacji *ad personam*. W obliczu ciężkich i nieusprawiedliwionych zarzutów wysuniętych przez M.Koska oraz W.Stojanowską zachowanie pełnej elegancji polemiki nie okazało się jednak możliwe. Jestem przekonany, że biorąc pod uwagę zarówno publiczną, jak i niepubliczną część wystąpienia M.Koska i W.Stojanowskiej Czytelniczy zechcą tę wyjątkową okoliczność uwzględnić.

Dziwi jednak to, że zarzut nieetycznej polemiki zgłasza właśnie M.Kosek. Już w pierwszym materiale: piśmie do dziekana WPIA z dnia 15 grudnia 2011 r. pozwalał sobie na bardzo swobodną retorykę. Na s. 11 tego pisma czytamy przykładowo że: „*może jest to zwykła metoda pracy tego autora także przy wszystkich innych jego dziełach*”. Na łamach „Państwa i Prawa” pisał z kolei, że: „*Nasuwa się smutna refleksja na temat mentalności, która każe się doszukiwać (...) jakiegoś drugiego dna*”, „*Autor świadomie próbuje przenieść problem na płaszczyznę personalną – być może nawet w pewnych środowiskach nośną...*”.

W tym kontekście można postawić dalsze retoryczne pytania. A mianowicie, czy przenoszenie polemiki z właściwych dla niej specjalistycznych forów naukowych na płaszczyznę adresowaną do zdecydowanie „masowego odbiorcy” (mam tu na myśli przede wszystkim tygodnik „Angora” wydawany w nakładzie blisko 500 tysięcy egzemplarzy oraz TVN „Uwaga”, a także prasę lokalną) może być uznane za właściwy i etyczny sposób rozstrzygania sporów naukowych, i to w czasie, gdy postępowania wyjaśniające toczą się w fazie *in rem* i objęte są bezwzględnie poufnością. Zdaje się jednak, że klasyfikacja etyczna takich zachowań M. Wrońskiego nie interesuje.

Można również zastanawiać się nad tym, czy szerokie prezentowanie sprawy na łamach Forum Akademickiego na tak wczesnym jej etapie, sprawy odległej od przesądzenia, sprawy przy tym, jak mówi M.Wroński dla gazety Pomorskiej cyt.: „*niezwykle delikatnej, gdyż opinie na temat tej książki są podzielone*” jest właściwe i etyczne. Nie można przecież nie mieć świadomości nieodwracalnych szkód wyrządzanych w ten sposób.

I na koniec jeszcze jedno. Otóż, tak się złożyło, że tekst M.Wrońskiego poświęcony mojej osobie dotarł do moich rąk wraz z materiałem opublikowanym na jego temat na łamach Rzeczpospolitej, a zatytułowanym „*Plagiator w resorcie Kudryckiej?*” (z dnia 17 lipca 2013 r.). Chodzi o zarzuty stawiane M.Wrońskiemu

w związku z jego własną działalnością naukową. Przeszła mi przez myśl natrętna refleksja, że może M.Wroński powinien raczej pilnie zająć się wyjaśnieniem własnej trudnej sprawy, zamiast pokazywać palcem w innym kierunku i kreować się na sprawiedliwego sędziego.

Tak się też składa, że opisywany w materiale w Rzeczpospolitej M.Wroński „z zawodu anestezjolog, z zamiłowania łowca plagiatorów” jak pisze autor materiału, broni się przed zarzutami wskazując jako ich wyłączną przyczynę „zemstę” swych adwersarzy. Wydaje się, iż dobrze zatem rozumie i bierze pod uwagę możliwość nieczystej gry. Trochę jedynie szkoda, że akceptuje taką ewentualność wyłącznie wobec swojej osoby.